

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 95

№ 6. | Warszawa, 3 (16 marca) 1903 r. | Rok V.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



NIEBEZPIECZEŃSTWO.

SARNA

(*Cervus capreolus*)

przez Wiktora Stephana.

(Praca nagrodzona I nagrodą na konkursie Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa).

(Ciąg dalszy).

Owad ten odkryty został w roku 1894-ym przez generalnego lekarza wojskowego, d-ra Striker'a w Metzu. W okolicy Metzu bowiem zginęło na tę chorobę w r. 1893 i 1894-ym na przestrzeni 3000 morgów lasu 300 sztuk sarn.

Dr. Striker objaśnia, że wskutek osiedlenia się robaczka w przewodach i kanalikach oddechowych, tworzą się z substancyi płucnej, pozbawionej dostępu powietrza, serowate grudki, które się w miarę czasu zwiększają. Zwierzę chudnie, sucho pokaszluje, następnie kaszel się wzmaga, pomimo apetytu i dobrego trawienia zwierzę z ciała spada i zwyczajnie kończy śmiercią. W komorach sercowych, w klatce piersiowej i w jamie brzusznej okazuje się woda. Płuca są białe, zwiędłe i skurczone, niekiedy zaś opuchnięte. Przewody oddechowe zasłane są całemi gniazdami tego owada.

Historya tego owada jest mało znana. Przypuszczają jednak, że sposób życia podobny jest do życia motylicy.

Jako środek zapobiegawczy, a raczej uśmierzający chorobę, zalecane bywa dodawanie do lizawek:

1 części soli;
2 części proszku z liśćmi piołunu;
1 części proszku z liści wrotyczy;
1 części smoły drzewnej.

Sól wogóle zdaje się być znakomitym środkiem przeciwko wszelkim robakom,— w zimne, mokre lata bowiem, w których zwierzyna zwykle więcej choruje, są lizawki częściej odwiedzane, aniżeli w lata pogodne.

Choroba wątroby również często się pojawia, mianowicie w lasach o podmokłych łąkach, zapadają sarny na tak zwaną motylicę, której skutkiem jest rozprzężenie, a później przy większem nawiedzeniu, nawet rozkład wątroby i w końcu niechybna śmierć zwierzęcia.

W dziele swem „Die Gesundheitspflege der landwirthschaftlichen Haussäugethiere“ opisuje Dr. Karol Dammann dwa rodzaje motylic. Są one dwupłciowe. Jedna większa *Distomum hepaticum*, druga mniejsza



Motylica większa
(nat. wielk.)



Motylica mniejsza
(nat. wielk.)

Distomum lanceolatum. Większa zupełnie jest podobna do listka senesu, 16 do 32 mm. długa i 6 do 13 mm. szeroka.

Przy sekcyi sarny, nawiedzonej przez motylicę, nietrudno z arteryi wątroby wycisnąć motylicę i rozpoznać po białym kolorze i podanym wyżej charakterystycznym kształcie.

Motylica mniejsza *Distomum lanceolatum* ma długości 4 do 8 mm., a szerokości 1 do 2½ mm. Jajka pierwszej są 0.13 mm. długie i 0.03 mm. szerokie.

Do rozwoju tego robaczka konieczną jest woda, dlatego też sarny zapadają najczęściej na motylicę po mokrych latach, lub w miejscowościach, gdzie są stojące wody. Gąsienniczka motylicy, opatrzona rzęskami, zdolną jest dłuższy czas przebywać swobodnie w wodzie, nareszcie przyczepia się do nagiego ślimaczka, ukształtowuje na rodzaj torebki, zdolnej do rozmnażania bezpłciowego, wytwarzając we wnętrzu całe gniazdo nowych robaczków, posiadających już gębę, kiszkę i przysawki. Te nowe, mikroskopijne robaczki, opatrzone są ogonem i pływają doskonale, a dostają się do organizmu sarny albo bezpośrednio przez picie wody, albo też przez spożycie traw, rosnących w mokrych miejscach, do których te robaczki się przyczepiają. Z dwunastnicy dostaje się przewodami żółciowemi do wątroby, gdzie w przeciągu trzech tygodni wyrastają płciowo dojrzałe motylice.

Zwyczajnie dostaje się motylica do organizmu sarny w czasie od drugiej połowy czerwca do końca września.

Jeżeli motylica wystąpi pojedynczo, to zwierzę przetrwa pasorzyta bez widocznej szkody, większa jednak ilość sprawia anormalne odżywianie, katar ki-

Z polowań we Francyi.

(Ciąg dalszy).

W chwili, kiedy się rozgrywały opowiadane przezemnie wypadki, nie wiedziałem jeszcze, że wkrótce będę się mógł osobiście przekonać o złośliwości francuskich dzików. Zresztą byłem na to przygotowany, jak każdy myśliwy, polujący na tych protoplastów naszej trzody chlewnej.

Gdyśmy zajęci byli wysłuchiwaniem raportu gajowych, nadjechał dwukołowym kabryoletem jeszcze jeden uczestnik polowania, niejaki p. Grazon, ex-oficer spahisów, posiadacz znacznego majątku w okolicach Loches. Jest to barczysty mężczyzna, o twarzy czerwonej, małych, siwych oczach i krótko strzyżonych włosach, zawsze wesoły, może nieco rubaszny, ale doskonały kompan myśliwski. Lubi zarówno polowania z flintą, jak i *par force*, poświęcając im całkowity czas, wolny od zajęć.

Służba zawinęła się szybko około przygotowań do śniadania, wkrótce też zasiedliśmy do stołu, przy którym zapanowała polsko-francuska wesołość. Stary Chrétien opowiadał o swych dawnych polowaniach, a że polował bardzo dużo, więc i tematy miał niewyczerpane. Aniśmy się opatrzyli, jak zniknęły obie potrawy i parę butelek czerwonego wina. Wypiliśmy kawę i w drogę.

Do miotu mamy ze dwie wiorsty, więc się pakujemy do breku, gdy gajowi ruszają piechotą. Psiarek i jego pomocnik konno prowadzą psy, które częstem ujadaniem zdradzają radość z przewidywanego polowania. Jedziemy stępa, gdyż falisty grunt nie pozwala na jazdę kłusem, i po 20 minutach stajemy na miejscu, gdzie wysiadamy z pojazdu i rozdzielamy się na dwie partye. Część gajowych, oraz psy wraz z psiarkami udają się na drugą stronę miotu, gdzie są tropy wchodowe, my zaś udajemy się wyszosowaną drogą, rozstawiając się w porządku następującym: stary Paul, Chrétien syn, Chrétien ojciec, hr. Branicki, ja, Grazon i Jaś Czarkowski, strzelec hrabiego.

Gdym stanął na stanowisku, nabiłem przedewszystkiem swoją dwururkę (jedna lufa express cal. 500, druga gładka cal. 16), podciągnąłem kurki i wtedy rozejrzałem się po miocie. Miot ten (znany mi zresztą doskonale, gdyż go bardzo często zakładamy) składa się z gęstej, kilkudziesięcioletniej drągowiny dębowej

szek, blednicę i puchlinę wodną. Sarna, nawiedzona silnie przez motylicę, chudnie kompletnie, mięso staje się blade, często w klatce piersiowej i jamie brzusznej zbiera się woda, zęby chwieją się, a na dobitek biegunka kończy dzieło zniszczenia.

Sztuki silniejsze, które przetrwały chorobę, zwykle długo chorują. Motylica po kilkumiesięcznym pobycie w wątrobie, dostaje się w maju do kiszek, gdzie zamiera, a złożone jajka wydostają się na zewnątrz wraz z kałem. Sarny chorują na motylicę od października do końca grudnia, a giną przeważnie w styczniu. Aby od tej choroby, ile możności, sarny chronić, zadawać należy poddostatkiem dobrej paszy. Mokre łąki osuszać. Z miejscowości, gdzieby się po deszczach tworzyły kałuże, wodę odprowadzać i tym sposobem rozwój jaj motylicy utrudniać. Nawóz z pod jadeł i miejsc, gdzie się karmę zadaje, zwozić na kupy i wapnem przesypywać, aby w nawozie ukryte jaja niszczyć. Tak przetrawiony, dłuższy czas wyleżały i przerabiany nawóz, użyć można do użyźniania łąk. Widocznie chore sarny zawczasu odstrzelić.

Wprawdzie rzadko, ale także wszelakiego rodzaju tasiemce trapią sarnę i nawet śmierć spowodować mogą. Jakim sposobem dostaje się tasiemiec do organizmu sarny, trudno określić, prawdopodobniejednak przez karmę. Często psy wydzielają z kałem tasiemca — ten dostać się może na krzew lub trawę i tym sposobem do wnętrza sarny. Gdy się tasiemiec do organizmu sarny dostanie, to wędruje w którąkolwiek część ciała i stopniowo dalej się rozwija. Jeżeli dostanie się do mózgu, powoduje stan zapalny, wskutek czego dostaje zwierzę mdłości, a w końcu po 3 do 6-iu miesiącach kołowaciznę.

Części tasiemca nie wyrastają odrazu na właściwego tasiemca, ale powoli się przekształcają, wskutek czego tworzy się pod czaszką worek wielkości kurzego jaja, o cienkich ścianach, napełniony cieczą, co powoduje ucisk na mózg, i powyższe skutki.

W zimie przy długotrwałym wysokim śniegu, widzieć można krwawe plamy, które dowodzą, że sarny zapadły na chorobę nerkową. Choroba ta jest znaną, gdyż często trafia się i u bydła domowego. U sarn powstaje ta choroba ze spożycia większej ilości ostrych pokarmów, jak pędów dębowych, olszowych, sosnowych, żarnowca, ciemierzycy czarnej, ostrej, bagnistej trawy itp. Szpilki sosnowe np. formują się w większe, twarde kule i powodują zatkanie kanału odchodowego, lub też dziurawią trzewia, i zwyczajnie pada sarna ofiarą. Chcąc zaradzić złemu, należy odpowiednio zadawać karmę, by zwierzynę ile możności od szkodliwego przygryzania pędów drzew szpilkowych, dębów i olsz powstrzymać.

Dalej nie jako choroba, ale jako pasorzyt, występuje na sarnach giez skórny, którego gąsienniczka żyje pod skórą. Mucha koloru mniej lub więcej szarego, na ziemi trudna do rozeznania, składa jaja na grzbiecie sarn. Gąsienniczka walcowata, twarda, białawo-przezroczysta ma na przodzie żuchwy, któremi wkręca się pod skórą, i tam żyje. Po pierwszem wyskórzeniu się zmienia gąsienniczka narządy do przyjmowania pokarmów na trójkątny, do ssania przydatny, smoczek.

Budowa gąsienniczki po wyskórzeniu jest stożkowata, a mianowicie u czarnej sawki wązka, a ku białemu końcowi ciała szeroka. Gąsienniczki powodują pod skórą ropienie. Wyskórzając się po raz drugi, przyjmuje formę gruszki.

Ciało gąsienniczki jest po drugiem wyskórzeniu bardzo miękkie, koloru prawie czarnego, a kształt ustawicznie zmienny. Narosty na skórze w miarę rozwoju gąsiennicy powiększają się, a gąsiennica, dochodząc do szczytu rozwoju w marcu i kwietniu, wysuwa się tyłem przez otwór w skórze na zewnątrz i w ściółce, mchu lub ziemi przepoczwarza. Otwory w skórze stopniowo zarastają i na zewnątrz są niewidoczne — w wyprawie jednak bardzo często ponownie się otwierają i skóra garbowana (wyprawiona) wygląda jak gdyby była grubym śrótem zestrzelana.

Jest jeszcze wiele innych pasorzytów, jak kleszcze *(Ixodes reticulatus)* dalej muchy *Lipoptera cervi* i t. p., które jednak ważniejszego znaczenia nie mają.

(D. c. n.)

Prochy małodymne

przez

Władysława Słonczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

Na tem kończymy pierwszą część naszej pracy, część teoretyczną; w części tej zapoznaliśmy się z historyą powstania i fabrykacyi prochów małodymnych, z właściwościami różnych gatunków tychże, jako też z przyrządami, mającemi służyć do badania najważniejszych czynników działania każdego prochu: wyso-

---

bez żadnego prawie podszycia; pojedyncze jednak drzewa rosną tak gęsto, że promień widzenia ogranicza się średnio do kilkudziesięciu kroków.

Wiedząc, że polowanie rozpocznie się dopiero za chwilę, przysiadłem sobie w rowie. Ranna mgła opadła teraz zupełnie i słońce świeciło jaskrawo, grzejąc nas swemi listopadowemi promieniami. W powietrzu panowała cisza, tylko niekiedy słaby podmuch wiatru przeleciał po zeschłych liściach wierzchołków, powodując łagodny szelest. Jakieś muszki i komary, ożywione ciepłemi promieniami słońca, unosiły się w powietrzu, każąc nam zapominać, że się już w początkach zimy znajdujemy. Z miotu dochodził mnie chwilami ostry zapach gnijących liści dębowych, który tak dalece przypomina znany odór dzików, że się nieraz co do jego pochodzenia pomylić można.

I było mi dobrze wśród tej ciszy i tego ciepła słonecznego. Sąsiedzi moi, również poprzysiadali w rowie, ćmiąc sobie papierosy; tylko jeden stary Chrétien dreptał ciągle na miejscu z rękami w kieszeni i flintą, przez ramię przewieszoną. Starowina tak przywykł do ruchliwego życia, że mu nawet przez głowę nie przeszło, aby na chwilę spocząć.

Wtem zdaleka doszedł nas głos Louis'a, który widocznie psy ze sfory spuścił: „Hou-coute (a może *ecoute*) a Ravageau, hou-coute a mon chien; hou-coute a Malaga!" — zachęcał kolejno psy. Potem zatrąbił i znów nawoływał psa każdego po imieniu. Siedzieliśmy jednak wszyscy, gdyż z doświadczenia wiedzieliśmy, że te poszukiwania zwierza trwają nieraz bardzo długo. Tym jednak razem rozwiązanie naszego dramatu miało szybciej nastąpić, niż zwykle, bo oto rozległo się grube, pojedyncze, szczeknięcie—jako pierwszy znak, że pies trop zwietrzył. „Hou-coute a Malaga!" Więc to Malaga się odezwał, dobry znak, bo to pies stary i doświadczony, więc tropem zająca lub królika oszukać się nie da. I znów rozległo się po lesie zławianie starego weterana, poczem przyłączył się do niego jakiś głos cienki, jakby psa, którego harapem ściągnięto. I szły na przemiany te dwa głosy ku nam, a do nich zaczęły się przyłączać i inne. Przerwy między niemi były coraz krótsze, co znaczyło, że trop był coraz cieplejszy. Naraz las zadrżał od zmieszanych głosów wszystkich psów, które widocznie wpadły na dzika w barłogu. Była to niesłychana wrzawa, napełniająca, zda się, wszystkie próżne miejsca między drzewami. Zerwaliśmy się wszyscy z miejsc naszych, jakby dotknięci prądem elektrycznym. Serce zabiło mi tak gwałtownie, żem je czuł niemal w gar-

kości ciśnień, jakie rozwija przy spalaniu się, i szybkości, jakie nadaje pociskowi.

Część druga tej pracy poświęcona będzie praktycznej stronie naszego przedmiotu, poczynając od skreślenia przebiegu prób balistycznych różnych kalibrów broni, oznaczenia warunków, koniecznych dla odpowiedniego działania tych i owych prochów, a wreszcie oznaczenia wielkości ładunków dla krajowych prochów małodymnych: „gen. Liszewa" i „Sokół."

CZĘŚĆ II.

I.

Warunki i rezultaty prób „Fielda" i odpowiednie próby Niemieckiego Instytutu.

W dalszym ciągu przekonamy się, że opublikowane przez redakcyę angielskiego dziennika „The Field" rezultaty, nie odznaczają się ścisłością wielu cyfr, szczególnie odnoszących się do ciśnień gazów prochowych. Pomimo tego jednak próby Fielda przedstawiają niejaki interes, ponieważ dotyczą wielu pytań i dają obszerny materyał, na podstawie którego można wyprowadzać wnioski, charakteryzujące własności różnych gatunków prochu. Niezależnie od tego badano wpływ różnych sposobów sporządzania ładunków na balistyczne rezultaty, a także zmiana tychże rezultatów w zależności od wyboru tych lub innych gilz, kapiszonów i różnych szczegółów. Mając pod ręką bronie różnych kalibrów i przyrządy do określania ciśnień gazów prochowych, redakcya Fielda próbowała każdy gatunek prochu w broniach różnych używanych kalibrów, dzięki czemu okazała się możność śledzenia tej zależności, jaka istnieje między wielkością ciśnień gazów prochowych a kalibrem broni.

Podczas kiedy Niemiecki Instytut ogłasza w 1892 roku zupełnie skończone już rezultaty wszechstronnego badania różnych prochów niemieckich w porównaniu z angielskiemi, redakcya dziennika „The Field" na prośbę swoich prenumeratorów rozpoczyna dopiero w 1894 roku szereg prób z nowemi prochami, które pojawiły się na rynku. Przy badaniu tych prochów za punkt porównania brano balistyczne rezultaty czarnego, doskonale już zbadanego prochu Curtis and Harvey—same zaś prace powierzono R. W. S. Griffith'owi, dotychczasowemu dyrektorowi „Schultze Gunpowder Company" w Londynie.

Próby zaczęto od broni 4-go i 8-go kalibru, przechodząc potem do 12-go, 16-go i 20-go; przyjrzyjmy się najpierw, jakie szybkości i ciśnienia otrzymano strzelając z broni 12-go kalibru czarnym prochem (Curtis & Harvey N. 4) przy normalnym ładunku i sposobie przyrządzania ładunka.

Ładunek prochu przyjęty był 82 grany, czyli 5,31 grama, ładunek zaś śrótu odpowiadający temu $1^1/_8$ uncyi, czyli 31,89 grama. Ładunki robione były w następujący sposób: na proch kładziono cienki kartonik, następnie cienką, sukienną przybitkę, potem wojłokową, tłuszczoną wysokości $^3/_8$ cala angielskiego. Na śrót N. 6 kładziono kartonik, gilzy zakręcano, a przybitki wszystkie brano 12-go kalibru. Szybkość początkową określano w odległości 5 yardów (4,57 metra) od wylotu broni, a ciśnienia wymierzano za pomocą crusher'a w odległości 2,5 cala od kamery (=6,35 ctm.), czyli na stoku od kamery do kanału lufy.

Oprócz normalnego tego ładunku (82 grany prochu Curtis and Harvey N. 4), próbowano całego szeregu ładunków zwiększonych, przyczem każdy następny większy był o 10 granów. Strzelając ładunkami zwiększonemi badano tylko wysokość ciśnień, szybkości już nie badano.

Rezultaty prób były następujące:

Ładunek	Średnia szybkość w metrach	Średnie ciśnienie w atmosferach
82 grany=5.31 gr.	365	345
92 „ =5,96 „	—	435
102 „ =6,61 „	—	485
112 „ =725 „	—	540

Przypatrując się zmianom ciśnień gazów prochowych tego prochu czarnego N. 4, widzimy, że przy pierwszem powiększeniu ładunku prochu o 10 granów, (czyli 0,64792 gr.) ciśnienie zwiększyło się o 25% w stosunku do ciśnienia osiągniętego przy strzelaniu normalnym ładunkiem. Przy następnem powiększeniu ładunka jeszcze o tę samą ilość 0,64792 grama, ciśnienie zwiększyło się tylko o 15%, a przy trzeciem powiększeniu ładunku, wielkość ciśnienia podniosła się zaledwie o 16% w stosunku do poprzedzającego. W ten sposób spostrzegamy tutaj bardzo ciekawe zjawisko, polegające na tem, że: *wzrastania wielkości ciśnień gazów prochowych nie są proporcyonalne do powiększenia ładunków prochu.— Wzrastanie ciśnień w danym wypadku odbywa się wolniej od wzrastania wielkości ładunków.*

Podobną nieproporcyonalność w stosunku między wielkościami ładunka i ciśnień można jednakże z łatwością objaśnić.

Przypuśćmy, że przy danych następujących: sile

---

dle. Ścisnąłem nerwowo sztucer i okiem rzuciłem, czy kurki podniesione.

Jednolity gon psów zbliżał się prosto ku nam. Już, już się zdaje, że dzik wyskoczyć powinien, gdy naraz, jakby w dobrze zgranej orkiestrze na skinienie pałeczki dyrektora, wszystko ucichło. Zwierz skluczył. Po chwili znów odezwał się pojedynczy głos psa i znów zagrała ta cudowna muzyka, lecz tym razem zmiarkowałem zaraz, że się oddalać zaczyna. Wszystko przepadło, już my strzelać nie będziemy. I w rzeczy samej rozległ się potężnem echem strzał daleki, a psy zamilkły na chwilę, lecz wnet trop podjęły, a głosy ich szybko się ku nam zbliżają. Teraz napewno dzik wytknąć musi, bo go na przeciwnej linii strzałem zwrócono.

Zaszeleściało coś na lewo odemnie i w tejże chwili spostrzegłem zwierza, jak w szalonych susach mknął prosto ku linii. Ledwiem zdążył sztucer do ramienia rzucić, a już wypadł na drogę i, gdym go miał na muszce, rów z przeciwnej strony przesadzał, tak był błyskawiczny w swych ruchach. Ściągnąłem cyngiel, a gdy mi się dym rozwiał, spostrzegłem koziołkującego dzika w kniei po za rowem.

Wyskoczyłem na drogę, krzycząc z radością do sąsiada: „Zabity, zabity!" Lecz ledwiem to wyrzekł, gdy zwierz zerwał się i sunął prosto ku mnie. Pędził jednak rowem z przeciwnej strony drogi, tak, że mu grzbiet tylko widzieć mogłem, co mi strzał czyniło niemożliwym. Szybko skoczyłem nazad do mojego rowu, a gdym się zwrócił, już dzik wyskakiwał z przeciwnej strony na burtę. Zmierzyłem, jak do kszyka, i piękna sztuka potoczyła się o kilka kroków odemnie.

Był to niewielki odyńczuk, ważący około 150-iu francuskich funtów. Pierwsza moja kula ugodziła go w sam kąt pyska, miażdżąc górną i dolną szczękę. Drugą miał po za uchem.

W jednej chwili zbiegli się do mnie wszyscy towarzysze, a wkrótce nadjechał i Louis, aby zatrąbić tak miłą dla ucha, fanfarę „śmierć" (*la mort*). Wszyscy mi winszowali dobrych strzałów, a stary Chretien podkpiwał sobie zlekka ze mnie, żem tak momentalnie do rowu drapnął, gdy się dzik ku mnie rzucił.

W każdym razie śmierć naszych piesków pomszczoną została.

Jan Sztolcman.

(D. c. n.).

kapiszona, ścisłości ładunka, wielkości prochowych ziarn, długości lufy i wadze ładunka śrótu, ładunek prochu zapali się w określonym, bardzo małym naturalnie przeciągu czasu, w którym to czasie ładunek śrótu przejdzie po kanale lufy pewną drogę. Jeżeli w tym czasie nastąpiło pełne zapalenie się całego ładunka, to spalanie się prochowych ziarn będzie się odbywać podług pewnych praw zależnych od własności prochu, i prochowe gazy udzielą przytem pchanemu przed sobą pociskowi (ładunkowi śrótu) pewną szybkość, rozwijając przytem pewne określone ciśnienie na ścianki lufy. (D. c. n.)

KILKA UWAG
O REPRODUKCYI I POMIOCIE,
ORAZ
obchodzeniu się z suką i szczeniętami.

(Ciąg dalszy).

Gdyby wypadła potrzeba leczyć ssaki, należy lekarstwo dać w pokarmie matce. Slepym szczeniętom bezwarunkowo nie daje się żadnych środków. Zdrowe szczenięta i syte, nigdy nie piszczą i nie narzekają, lecz ssą, albo śpią spokojnie.

Uważać, ażeby suka pierwszy raz rodząca, kładąc się lub układając, nie przygniotła szczeniąt, a każde oddalone od gniazda, przystawiać natychmiast do matki.

Jeżeli suka z jakichkolwiekbądź powodów nie może karmić sama, a szczeniaki przedstawiają pewną wartość, to należy albo postarać się o mamkę, albo karmić je przy pomocy smoczka, jak dzieci ludzkie. W miejscowościach odleglejszych od miast, w braku smoczka gumowego, można sporządzić takiż z cycka krowiego, odpowiednio przekłutego w swojej długości. Wszelkie smoczki i naczynia, z których ciągną mleko, winny być nader czysto utrzymane, często myte i płukane w czystej, ciepłej wodzie, ale bez mydła! Gdy potrzeba wyhodować kilka szczeniaków, należy w drewnianej misce lub stosownem naczyniu wywiercić tyle dziur, ile jest ssaków, i na zewnątrz do każdego otworu przymocować smoczek gumowy lub cycek krowi.

Za mamkę można wziąć zwyczajną kundlicę, byle wzrostem odpowiadała mającym wyrosnąć szczeniakom. Najlepiej wszakże mieć mamkę tej samej rasy. W każdym razie mamka krótkosierścista jest pożądańsza od kudlatej, choćby ze względu na pchły i przeróżne robactwo pasorzytne, łatwo w kudlach znajdujące schronienie.

W większych psiarniach praktykuje się rozmyślne i specyalne przygotowanie mamek, przez łączenie w tym samym czasie chartów, gończych lub legawców mniejszej wartości, lecz znanych jako dobre, troskliwe i pieczołowite matki. Chcąc spożytkować taką matkę na mamkę trzeba przedewszystkiem umiejętnie usuwać i niszczyć jej własne szczeniaki pojedynczo — i pojedynczo podkładać aż do końca. Każdy podłożony szczeniak winien być *dobrze wysmarowany* śmietaną lub świeżem, niesolonem masłem. Mamka, oblizując go, udziela mu swej woni i przyjmuje w końcu za swoje. Niezawsze jednak, i nie każda suka da się w ten sposób podejść, a po oblizaniu, odgryza podłożonego sobie szczeniaka. Należy go więc powtórnie wysmarować i podłożyć, a gdy i to nie pomoże, starać się o inną mamkę. Dobrze zatem jest, gdy można mieć parę mamek do wyboru, zwłaszcza pierwszy raz, dopóki się przymiotów danej mamki nie wyprobuje i nie ustali jej reputacyi.

Użycie mamek może być tylko wskazane w wyjątkowych okolicznościach, hodowca bowiem nie powinien zapominać, że szczenię z mlekiem swojej mamki, wyssie także niektóre jej wady lub choćby nawet przymioty — ale wcale niepożądane.

Ilość szczeniąt, pozostawionych do wykarmienia, powinna regulować się przeważnie stanem zdrowia i sił matki. Za wiele szczeniąt zbytnio wycieńcza matkę, czyni ją mniej odporną na choroby i mniej sposobną do dobrych i szczęśliwych, następnych pomiotów.

Zdrowa, silna, duża i starsza suka, przy odpowiedniem odżywianiu może wykarmić bez szkody sześcioro szczeniąt. Młoda w tych samych warunkach zaledwie czworo.

W żadnym razie, osobliwie sukom silniejszym, nie można zostawić mniej jak dwoje, ponieważ jedno, nie mogąc dostatecznie spożytkować wszystkiego pokarmu, naraża matkę na zapalenie wymion i samo przez to marnieje.

Jeżeli niema się zamiaru chować szczeniąt, należy je w celu ochrony matki natychmiast po urodzeniu niszczyć, nie dopuszczając do cycka. Mleko wtedy samo przez się przepada i nie potrzebuje być rozpędzane sztucznemi środkami, co się niezawsze zręcznie i pomyślnie dokonywa.

Ponieważ w pierwszych chwilach po oszczenieniu, suki mało przyjmują pokarmów stalszych, a tylko zaspakajają pragnienie, to należy obok legowiska suki stawiać naczynie z wodą i czuwać nad jej czystością i świeżością.

Jeżeli suka jest zbyt młodą lub wogóle — słabą, należy szczenięta wcześniej przyzwyczajać do straw, zastępujących mleko matki. Termin rozpoczęcia tego rodzaju karmienia nie powinien być wcześniejszy, jak po upływie dwóch lub trzech tygodni, w rzadkich wypadkach, niekiedy, trzeba się doń uciec i wcześniej, i używać smoczków.

Jeżeli suka jest zdrowa, silna i ma dość obfity pokarm, przyzwyczajanie do jadła należy rozpocząć po upływie miesiąca, chociaż szczeniak, dłużej pozostający przy cycku swej matki, jest dzielniejszy i piękniejszy. Karmienie wszakże przez sukę dłużej nad dwa miesiące przeciągać się nie powinno. W każdym razie przydłuższe wykarmianie przez sukę nie jest faktem zbyt pospolitym. Dwumiesięczne szczenię posiada już zęby szrankowe trwałe i skłonność do większego nacisku niemi, wskutek budzenia się kłów mlecznych, gwoli sprawieniu sobie ulgi w swędzeniu, co nie każdej matce może sprawiać przyjemność.

Zdarza się niekiedy, że matka sama porzuca szczenięta przedwcześnie, odgryza je i nie dopuszcza do cycka. Nie jest to ani pora, ani okoliczność, pozwalająca korzystać z usług jakiejkolwiek mamki, trzeba się zająć odkarmianiem sztucznem i wtedy im młodsze będą ssawce, tembardziej trzeba je karmić pożywniej, dodając do mleka tęgiego buljonu.

Im później wszakże rozpocznie się racyonalne karmienie szczeniaka, tem narządy trawienia jego, będąc bardziej przygotowane do pożytecznego przyswajania sobie sporządzanej systematycznie strawy, łatwiej będą ją asymilować bez szkody dla młodocianego organizmu, który nabiera odporności przeciw nosaciźnie.

Szczenięta ssałyby jaknajdłużej, ale im dłużej ssą, a znajdują obfity pokarm, tem niechętniej dają się nakłonić do porzucenia cycka—i gdyby nie wrodzona ich żarłoczność i potrzeba dopełniania żołądka, którego w starszym okresie mlekiem matki nie łatwo wypełnić, zaczęłyby marnieć. Żeby nie pozbawiać ich towarzystwa matki, z którą figlując, nabierają żywości i właściwego sobie dowcipu, a przeto nie pozbawiać niekiedy pożytecznej dla nich przewodniczki, w razie jeżeli matka zbyt jest miękką i pobłażliwą, należy uciec się do przymusowego opuszczenia cycka. W tym celu najlepiej sukę wykąpać w letniej wodzie i wymyć dokładnie szarem mydłem, a następnie cycki i wymiona dobrze wysmarować papką z gliny rozro-

bionej w occie. Ocet winien być rozwodniony, jak do użycia kuchennego, najlepiej zbożowy, nigdy zaś esencya octowa mało rozwodniona,

(D. c. n.). *A. I. Tomaszewski.*

Charty europejskie.

(Dokończenie).

Łapy: wydłużone, palce ściśnięte, lecz nie wypukle, pokryte włosem delikatnym i dość długim; pazury krótkie i zgięte; część dolna łapy powinna mieć formę podługowatą; pies powinien stać więcej na palcach, niż na piętach.

Ogon: stanowi jedną z najbardziej charakterystycznych cech rasy; piwinien być tak długi, żeby omal nie dotykał ziemi; dość gruby przy osadzie, staje się coraz cieńszym ku końcowi; wogóle cienki; jest on sprężysty i kształtu kosy, ogon zakręcony lub noszony wysoko brakuje się. Część górna ogona (przy osadzie) jest porośnięta włosem, zlekka pokręconym; niższa falistem piórem.

Szerść: krótka i delikatna na głowie, na reszcie ciała długa i jedwabista, na szyi najdłuższa, lekko fryzowana, tworząca jakby kołnierz, na grzbiecie lekko falista, więcej fryzowana na szynkach, na brzuchu i piersiach krótsza i prosta, a na tylnej części przedramienia fryzura długa na 6½ centim., pióro pod ogonem długie 11 do 14 centim., włos na palcach i między niemi jest prosty i dość długi.

Maść: jednostajna biała lub też biała z łatami żółtemi, oranżowemi, jasno siwemi lub popielatemi. Maść czarna lub czarno łaciasta jest brakowaną.

Wysokość w łopatce: dla psów od 70 do 90 centim., dla suk od 65 do 75 centim.

Waga: dla psów od 35 do 45 kilogr., dla suk od 30 do 40 kilogr.

Wady, pociągające dyskwalifikacyę: głowa za krótka lub niedość sucha; oczy jasne lub umieszczone za daleko jedno od drugiego; przełom nosowy zbyt widoczny, nos jasny, uszy za długie lub obwisłe, łopatki zbyt mięsiste, pierś za szeroka, grzbiet zapadły za łopatkami, kolanka wykręcone na zewnątrz, ogon zakręcony, szerść zbyt gruba, ordynaryjna, maść czarna lub ciemna.

Tablica stopni dla oceny

(przyjęta przez angielskie kluby).

Wygląd ogólny	15
Głowa i morda	15
Oczy i uszy	10
Szyja i pierś	10
Grzbiet i krzyż	15
Żebra	5
Szynki i piętki	10
Nogi i łapy	10
Ogon	5
Szerść	5
Razem	100

UWAGA. W tablicy tej nie pomieszczono maści, gdyż Anglicy nie brakują psów nawet ciemnej i czarnej maści. Rosyjskie towarzystwa kynologiczne nie przyjęły jeszcze oceny przez stopnie.

August Sztolcman.

W obronie jamników.

Pod tytułem „Foxterriery i jamniki" w tegorocznym „Kalendarzu Myśliwskim" p. August Sztolcman dał porównanie fox-terrierów z jamnikami, starając się w niem udowodnić, że do wypychania lisów i borsuków z nor lepsze są fox-terriery, niż jamniki.

Porównanie to zaciekawiło mnie bardzo, bo wyszło ono z pod pióra znanego autora różnych rozpraw myśliwskich, a także i dlatego, że od wielu lat uprawiam właśnie tę gałęź myślistwa z wielkiem zamiłowaniem, do czego obszerne lasy i knieje, któremi zarządzałem, dawały mi zawsze odpowiednie pole i materyał.

Po przeczytaniu jednak tej, zajmującej dla mnie, rozprawy, nabyłem przekonania, że pan Sztolcman w praktyce — ani z dobremi jamnikami nigdy nie polował, ani też z fox-terrierami nie robił dostatecznych doświadczeń, bo to, co w swem porównaniu podał, oparł nie na własnych doświadczeniach, lecz tylko na opisanych przypadkach niejakiegoś anonimowego *Veritasa,* który doświadczał obydwie rasy psów w norach, lecz, niestety, sztucznych.

Próby, odbyte w norach sztucznych, nie mogą być miarodajne, ani dla jamników, ani foxterrierow. Borsuk i lis w norach, dla siebie i przez siebie zbudowanych w ziemi, czuje się u siebie, czuje się, że tak powiem, panem swej sytuacyi, jest w nich śmielszy i odważniejszy. Tu też staczają oba te gatunki drapieżników zacięte walki z nieproszonymi gośćmi, broniąc swego mieszkania. W norach sztucznych, nawet nie zbliżonych w urządzeniu wewnętrznem do tych, jakie lisy i borsuki, dla siebie budują — wpuszczone do nich lisy i borsuki czują się już niejako uwięzione, ujarzmione, stają się bojaźliwemi, tracą zaufanie do siebie, lękają się z wszech stron jakiejś zdrady.

Do nor sztucznych najczęściej też wpuszcza się młode lisy i borsuki na uwięzi chowane, prawie oswojone. Takie indywidua nie posiadają tej siły, tej zaciętości, tej zręczności, przebiegłości, odwagi, jak ich brać, która używała wolności i swobody, i z nią też w norach jest o wiele łatwiejsza rozprawa. Stary taki 3—5-o letni lis, ubrany w swoje zimowe futro, posiada siłę, jest odważny i w norze u siebie ani fox-terrierowi, ani jamnikowi przystąpić do siebie i ująć się nie pozwoli.

P. Sztolcman, idąc za głosem Veritasa, oddaje pierwszeństwo foxterrierom przy użyciu ich w norach do wypychania lisów i borsuków. Wyrok taki na jamniki jest zupełnie nieuzasadniony, bo przy wypychaniu lisów z nor, pozostanie i nadal idealnym psem jamnik, a przy borsukach— fox-terrier może dać tylko równe usługi. Fox-terriery w norach lisich są wcale nie do użycia, albowiem są za duże, mają łapy za długie i za proste, które im w zwrotach i obrotach w norach przeszkadzają; tam, gdzie fox-terrier przedostać się nie może, gdzie musi kopać norę dla przedostania się, powiększa ją, tam jamnik, na krótkich swych łapkach, swobodnie przechodzi i staje się tym sposobem dla lisa niebezpieczniejszym, a dla myśliwego, przyjemniejszym i korzystniejszym. Foxterriery główne nory wycierają jako tako, lecz w boczne, ciaśniejsze, przedostać się nie mogą, wskutek czego przy nich się zatrzymują i grzebiąc, naszczekują, aby im przybyć kopaniem z pomocą. Częstokroć czynią to nawet, gdy lisa wcale w norze niema, czem myśliwego tylko w błąd wprowadzają.

Lis, usłyszawszy psa w norze, wynosi się w najciaśniejszy kąt tejże, i tam, ponieważ fox-terrier do niego przedostać się nie może, spokojnie, wyczekująco sobie siedzi.

W razach takich, myśliwy, nasłuchawszy się dostatecznie naszczekiwania fox-terriera, zniecierpliwio-

ny długiem wyczekiwaniem, a zziębnięty, albo zabierze się do wykopania lisa, jeżeli na to warunki miejscowe pozwolą, albo wywabi z nory fox-terriera, aby go zabrać i powrócić do domu, zrzekając się wynagrodzenia— lisiej skóry—za poniesione trudy. Fox-terrierów i jamników w zimowej porze używa się wszakże do wypychania lisów z nor, a im prędzej piesek wypędza lisa z nory, tem lepszy, tem drogocenniejszy, tem milszy dla myśliwego. Zdoła to jednak jedynie jamnik uczynić, bo na swych krótkich łapkach, wszędzie się za lisem łatwo przedostanie i w najciaśniejszej norze tyle mu dokuczy, że lis jaknajspieszniej oknem z nory wyjedzie, gdzie go myśliwy celnym strzałem powita. Jaknajmniejsze jamniki, byle wprawne, dają tu najlepsze usługi. W norach o jednem oknie, bez bocznych, wewnętrznych nor, (nora, przypadkową zwana) zastawszy lisa, zawsze go wykopać i kleszczami wyjąć trzeba; z takiej nory lisa żaden pies nie wypchnie, bo własnym organizmem mu wychód zamyka.

W długoletniej mej praktyce nie miałem nigdy przypadku, aby jamnik, albo fox-terrier starego lisa w norze udusił, a miałem i mam zawsze doskonałe pieski. Nasłuchałem się różnych opowiadań o uduszonych i wyciągniętych z nor lisach i borsukach, lecz były to zawsze tylko opowiadania myśliwskie, niemające nic wspólnego z rzeczywistością. Naród hakatystów nazywa takie opowiadania „minhauzeryą" i do takich też zaliczam opowiadania Veritasa!

Starą liszkę, przy młodych, niejedną me pieski udusiły, ba, nawet w strzępy podarły, lecz taka liszka w tym czasie, jest wielce porodem osłabiona, a pozbawiona futra zimowego, jest o wiele czulszą na zadawane jej rany przez psy. Także przy wydobywaniu z nor młodych lisów, tylko jamniki dają dobre usługi, albowiem skoro liski zauważą grożące im niebezpieczeństwo, uchodzą w najciaśniejsze nory, których mają zwykle dużo, a do nich znów fox-terrier się przedostać nie może i tu zaczyna żmudne kopanie i naszczekiwanie, które do pomyślnego rezultatu nie doprowadza. Jako dowód tego, przytoczę tu zdarzenie, które mi się przytrafiło w d. 27 lipca 1896 r., gdzie z nory, w której fox-terrier nie mógł nic uczynić młodym lisom, jamnik udusił i wyciągnął ich aż siedmioro. Nora znajdowała się w skalistej górce, gdy o wykopaniu lisiaków i mowy być nie mogło. Gdyby nie jamnik, byłyby lisiaki pozostały przy życiu. Z doświadczenia więc własnego wyniosłem to przekonanie, że do wypychania zimą starych lisów z nor i duszenia młodych lisów latem, jedynie jamniki z dobrym skutkiem użyte być mogą, do czego nie potrzeba psów wielce ciętych, lecz dobrze wprawnych.

(D. n.) *Wiktor Szostak.*

Słonki w Chersońskiej guberni.

Rozległe równiny stepów chersońskich, ujęte w ramy wspaniałego Dniepru, skalistego Dniestru oraz nagich brzegów Czarnego morza, a graniczące na północ z Podolem i Ukrainą, przerznięte są w kierunku północno-południowym licznemi jarami i kilku rzekami, jak Bohem, Ingułem, Ingulcem, Kujalnikiem Wielkim, Srednim i Małym, Czeczekliją i Tiligułem. O ile cała płaszczyzna jest prawie bezwodną i bardzo mało posiada leśnej roślinności, o tyle znów owe doliny, jary i porzecza są gęsto wsiami zasiane, posiadają liczne ogrody, winnice, dużo lasków przeważnie akacyowych, wiele stawów, zarosłych oczeretami, łozą i sitowiem. W czasie jesieni i wiosny doliny te służą niejako drogowskazami dla różnorodnego ptactwa w ich ciągach na północ i na szlakach tych znajduje ono obfitość pożywienia, odpoczynek i schronienie przed prześladującemi je drapieżnikami. Gdy jeszcze stepy leżą skute zimową pokrywą, w dolinach tych śniegi, ogrzane pierwszemi promieniami wiosennego słońca, topnieć zaczynają, a pierwiosnki i podśnieżki swem delikatnem, białem kwieciem, pokrywają odsłonięte polany, masa różnorodnego ptactwa zjawia się i napełnia całą dolinę swym gwarem i śpiewem. Każdy krzew, każde drzewo zmienia co chwila efemerycznego lokatora, czarnego kosa zmienia drozd śpiewający, dzierżbę rdzawokarczystą zastępuje ciernioktęt, mucholówkę szarą - mucholówka żałobna, pstrego dzięcioła—zielony, małe gajówki zastępują pokrzywki szare, wilgę żółtą — kraska. Ostatnie zjawiają się szczurki i różowe szpaki.

Stawy, rzeki i jeziora przepełnia wrzask kaczek, gęganie gęsi, świst kulona i skrzek bekasa. W chaosie tej wrzawy pierzastej gawiedzi wodnej ucho łowi głosy grzechotki, rożeńca, plaskonosa, czernicy, ogorzałki, kaczki chełmiastej i świst małej cyraneczki, a po nad głowami nieustannie ciągną sznury żórawi, a swojem tęsknem „kru, kru" napełniają powietrze. Gorączkowe to życie przemija jednakże bardzo szybko; każda ptaszyna, podniecana miłością, śpieszy w dalekie strony na gody weselne, a nasze ogrody i zarośla zalega znów cisza, przerywana tylko nocnemi trelami kochliwego słowika, kukaniem kukułki i piskiem jastrzębi. W powietrzu widać tylko majestatycznego orła, zakreślającego szerokie koła, w chwili, gdy upatruje swą ofiarę.

Przelot słonek wcześniej tu się odbywa i przechodzi prawie niepostrzeżenie, odbywa się podczas ciemnych nocy, więc też upolowanie jednej lub 2 sztuk w czasie wiosennych ciągów należy do wyjątkowych zdarzeń. Długa zaś i piękna zwykle tu jesień w dwójnasób nagradza nam niepowodzenia wiosenne i obdarza nas nieraz iście królewskiemi polowaniami na słonki.

Już od połowy września z wytężoną uwagą śledzimy jesienny przelot ptactwa, i skwapliwie przeszukujemy nasze ogrody, zarośla i laski, a pierwsze „czak-czak" wesołego drozda upewnia nas o poczynających się ciągach słonek. Z flintą na ramieniu i suką przy nogach, podążam dziś do najbliższych zarośli. Dzień skwarny, słońce, stojące wysoko, pali nielitościwie swemi promieniami, a pot zalewa oczy. O kilkanaście kroków od zarośli moja „Pardwa" ściągać zaczyna; chwytam za fuzyę i z odwiedzionemi kurkami podążam za psem. Gorączka myśliwska ogarniać mię zaczyna, każde uderzenie serca jak młotem wali w piersi, zaledwie podążam za mą suką. Ze zwróconym ku gęstwinom bzów nosem, podnosząc zwolna nogę za nogą, posuwa się moja suka, idzie już tak wolno, iż ją zachęcać muszę co chwila; przystanęła, znów kilka kroków i znów stoi. Teraz wygląda, jak posążek z białego marmuru, członki wyciągnięte, jak struny, muskuły wystąpiły silnie na wierzch, oczy wytrzeszczone, wargi kurczowo podciągnięte, tylko drżący ogon dowodzi, że to żyjące stworzenie. Chwila podziwu przechodzi szybko, upatruję słonki. Tuż pod pniem akacyi, osłonięta gęstym krzewem bzu, ze spuszczonym dziobem, skurczoną szyją, obwisłemi skrzydełkami i zadartym w górę ogonkiem, stoi nasza ulubiona słonka, wpatrując się swemi wielkiemi oczami w mą pointerkę. Lecz niedługo pozwala mi cieszyć się tym pięknym widokiem, jednem poruszeniem skrzydełek wyniosła się po nad osłaniający ją krzew i zanim zdołała ukryć się w liściach wysokiego drzewa, padła martwą u niego. Upojony miłem wrażeniem, powracam zadowolony do domu i pod datą 12 września zapisuję swą pierwszą zdobycz tegoroczną.

Zdarzało mi się w długiej praktyce myśliwskiej zabijać po kilka słonek w czasie 1 godziny, lecz nigdy mi to nie sprawiało takiego zadowolenia, jak każde zabicie pierwszej słonki. Od pojawienia się pierwszych osobników, codzień częstsze na całej dolinie rozlegają się wystrzały, a nie rzadko cała okolica huczy od grzmotu strzelb myśliwych i rusznic chłopskich. Te ostatnie na szczęście nie czynią zbyt wiel-

kiego uszczerbku, gdyż dla „muzyka“ tutejszego długi nos słonki nie przedstawia żadnego interesu i woli on połazić za dropiem lub zającem.

Polowanie z wyżłem, osobliwie w czasie pierwszych ciągów, gdy drzewa obficie są jeszcze pokryte liściem, nie należy do łatwych i wymaga wielkiej wprawy. Nigdy też myśliwy nie osiąga tak pięknego rezultatu, jak na polowaniach z naganką. Przelatujące słonki wybierają zwykle dla odpoczynku i pożywienia najgęstsze zarośla, leżące wśród wysokich drzew, a spłoszone, umieją zawsze po mistrzowsku i z szybkością strzały skryć się między liściastemi krzewami i osłonić od strzałów; to też mniej wprawny myśliwy, szukający wolnego miejsca do strzału, a ociągający się z wystrzałem, niechybnie powróci do domu z próżną torbą a długim nosem. Wogóle zaleca się przy tego rodzaju polowaniu szybkość działania, niežałowanie nabojów wypuszczonych, za które zbytnio nikt rumienić się nie powinien.

„Masa słonek. Oczekuję dziś sąsiada“. Temi słowy zaprasza mnie mój sąsiad p. K., a że tam mamy zawsze najlepsze polowanie na słonki, więc podążam corychlej do Tatjanówki. Kilkunastu chłopców z klekotami, oczekuje koło bramy ogrodowej. Oddaję konia i po krótkich naradach udajemy się z p. K. na oznaczone miejsca. Chłopcy zachodzą; pierwszy miot tuż obok zabudowań folwarcznych; my stajemy na wązkich alejach. Na dany znak gonić zaczynają. Wśród szumu i klekotania rozlega się pierwsze hasło: „walusznik“ (tak malorus nazywa słonkę). Każdy silniej ściska w garści fuzyę i oczy wytrzeszcza w gęstwinę. „Walusznik, walusznik“ coraz częściej rozbrzmiewa, a na linii ani jednej nie widać słonki. Już widać wychylające się głowy naganiaczy z gęstwiny, już tylko kilkanaście dzieli nas kroków, a słonek niema. Naraz chłopcy spuszczają się do rowu, oddzielającego nas od nich, i w tej chwili mój sędziwy sąsiad dubletem ściąga parkę. Chcę zdjęciem kapelusza wyrazić mój hołd staremu Nemrodowi, lecz i przedemną poderwały się trzy sztuki, czasu niema na stracenie, palę z dwóch luf—szelest okropny, kupa gałęzi i liści spadła na ziemię, a moje słonki poleciały zdrowe. Zmieniamy front, a chłopcy zaczynają gonić z przeciwnej strony. Niebawem znów huczą okrzyki „pilnuj“. Widocznie mój sąsiad jakieś votum św. Hubertowi uczynił, bo znów celnym strzałem zwalił jedną, po chwili drugą. Ale i na mnie ciągnie na sztych parka i obie, robiąc młynka, pod nogi mi zrulowały, a za chwilę i trzecia padła ofiarą.

Robimy mały odpoczynek, bo gorąco okropne, gasimy pragnienie soczystemi arbuzami. Teraz mamy wszyscy miny wesołe: myśmy zadowoleni z rezultatów, chłopcy z obiecanej, podwójnej zapłaty za dobre gonienie. Wypocząwszy cokolwiek, ruszamy na najlepsze stanowiska, gdzie corocznie najlepsze osiągamy rezultaty. Oto przed nami dwie dziesięciny dębów, podszytych gęsto nizkopienną tują i burzanami. Jest to istne Eldorado słonek. Pierwsze „pilnuj“ niebawem rozdarło powietrze, wślad za niem drugie, trzecie „pilnuj“, rozlega się na linii. Naraz kilka setek pokazało się. Zaledwie zdążamy nabijać wystrzelone fuzye, słonki na prawo i lewo, nad głowami, nad samą ziemią przelatują koło nas, inne jeszcze wynoszą się do sąsiednich krzewów. Strzały tak szybko następują, że liczyć trudno. Rezultat nie najgorszy. Ja mam 5, a sąsiad 3. A ile drzew pokaleczonych, ile gałęzi z liścia ogołoconych, bo każdy strzał, jeżeli nie w słonkę, to w drzewo trafia napewno. Ale za takie pudełka zbyt rumienić się nie będziemy i z dobremi minami w dalszym ciągu uprawiamy nasze miłe polowanka, któremi nawet ci szanowni koledzy myśliwi, którzy łaskawie pozwalają sobie szykanować nasze myślistwo w stepach, niestety poszczycić się nie mogą.

Wł. Czerniejewski.

Epizod syberyjski.

(Ciąg dalszy).

Należało umyć się i zabrać do herbaty, która nam pozostała jako jedyna pociecha; Jegor powtórzył parę razy ze złością, że i dziś nie ma „fartu“, ale dla mnie nie mogło to być pociechą. Zaczęliśmy się naradzać, czy przejechać na stary tok, czy też jeszcze raz spróbować szczęścia na tym samym, i chociaż Jegor był zdania, że należało rzucić niefortunne miejsce, ja byłem przeciwnego zdania i postanowiłem zostać jeszcze przez dzisiejszy wieczór i jutrzejszy ranek na tem samem miejscu, poczem już miałem przejechać na stare tokowisko. Dzień cały mieliśmy przed sobą, dzień długi jak rok; podług nowego stylu był już początek maja. Byłem tak zniechęcony, że odmówiłem Jegorowi towarzyszenia na jarząbki na wabika („na piszczyk“) i po napiciu się herbaty z czerwonem winem i pół tuzinie jaj na twardo z masłem, położyłem się na owej „dosze“*), zawinąłem się w kołdrę, burkę, i oddałem się z całem zaufaniem poczciwemu Morfeuszowi. Około południa powrócił Jegor z niczem i opowiedział, że widział parę mrowisk, świeżo przez niedźwiedzia rozkopanych; co prawda, nie bardzo mu wierzyłem, wiedząc, że rozmijanie się z prawdą nie należy u niego do wyjątków, jednak w opowiadaniu nie przeszkadzałem, słuchając pilnie. Muszę jednak nadmienić, że początek wiosny jest czasem, w którym w syberyjskiej tajdze najprędzej można się z niedźwiedziem spotkać; wiedziałem też o tem, chociaż nigdy, polując od lat kilku na głuszce, nie zastanawiałem się nad tem i nie myślałem na seryo. Tak nam czas niepostrzeżenie na gawędzie o tem i owem zeszedł. Jegor zaś w opowiadaniu był nielada mistrzem; widział i doświadczył dużo, a zaciekawić i opowiedzieć tak umiał, że formalnie zasłuchiwałem się; znał przytem tajgę okoliczną w promieniu kilkudziesięciu wiorst, jak własną kieszeń. Dzień, chociaż nam dłużył się, zeszedł w końcu, i niebawem z zadowoleniem spostrzegliśmy, że ma się ku końcowi.

Poszliśmy tedy obaj trochę wcześniej, niż dnia poprzedniego, i nie zatrzymując się nigdzie, zacząłem zwolna obchodzić całą miejscowość, której ani wczoraj wieczorem, ani dziś rano, nie zbadałem.

Przestrzeń, na której grały głuszce, była wielka, ponieważ ślady uwidoczniały się po obu stronach rozłogu, chociaż więcej ich było na północno-zachodniej.

Skoncentrowania większego nigdzie nie zauważyłem, tokowisko było jakoś dziwnie i bezładnie rozrzucone i należało widocznie do młodych ptaków. Tylko z najbliższej okolicy musiały się tu nieliczne reprezentowane egzemplarze, zbierać.

Obchodząc tak tokowisko, doszedłem w końcu do owej pamiętnej sosny, która stała prawie za obrębem toku; doszedłem do niej ze strony przeciwnej, niż dwa poprzednie razy, i mogłem skonstatować, że głuszec musiał na niej stale i od dawien dawna wieczory i ranki na pieśniach miłosnych spędzać. Część wierzchołka sosny, którą z tej strony ujrzałem teraz po raz pierwszy, formalnie była oskubaną, ślady noclegów licznych uwidoczniały się jeszcze lepiej pod drzewem. Ponieważ słońce rzucało ostatnie swe promienie na przeciwległą stronę rozłogu, a w niższych miejscowościach już zaczęły się pojawiać cienie, postanowiłem dalej nie chodzić i pozostałem na miejscu na los szczęścia.

Znowu zapanowała cisza, jak poprzedniego wieczora, i tak przetrwałem około kwadransa, może mniej, gdy ujrzałem zdaleka głuszca, wprost do mojej so-

*) „Docha“ jest to futro podwójne, wierzch reniferowy, a spód najrozmaitszy.

sny ciągnącego. Ponieważ miałem tylko głowę wychyloną zpoza drzewa, za którem stałem, więc w jednej chwili usunąłem ją i w momencie sadowienia się ptaka, nie widziałem, a tylko słyszałem, jak się tokował. Wnet też i grać zaczął. Wychylam się ostrożnie, patrzę, oczy wytrzeszczam, nie widzę nic a nic; głuszec gra, płynie pieśń za pieśnią z coraz mniejszemi pauzami i ja się niemi delektuję. Chciałbym się zmienić w ostrowidza, nic nie pomaga. Decyduję się wyczekiwać zupełnego zmierzchu, z własnego doświadczenia wiedząc o tym, niezawodnym sposobie. W zeszłym roku o zupełnym zmroku około godziny 9-ej szóstą kulą zwaliłem głuszca. Zaczyna się ściemniać, gra nie ustaje; wychodzę ostrożnie ze swego stanowiska i zachodzę od strony, od której przeleciał głuszec, wypatruję oczy zawsze z równym skutkiem; tokowanie ustaje, natomiast słyszę charakterystyczne chrząkanie, oznaczające niepokój, i zdaje mi się, że widzę wśród ciemnych gałęzi, ciemniejszy jeszcze kontur; składam się i strzelam, echo daleko roznosi huk strzału i nic więcej. Nie tracąc ani chwili czasu, strzelam z lewej lufki sztucera i głuszec z łomotem wali się o jakie 10 kroków przedemną. Odetchnąłem swobodniej; ten głuszec kosztował mnie jeden ranek, dwa wieczory i trzy strzały. Wydał mi się tem cenniejszy. Ani ja, ani Jegor, tego wieczora więcej nie widzieliśmy głuszców. Dlaczego— wytłómaczyć nie mogę.

Na drugi, a raczej na trzeci dzień rano, już w biały dzień o godzinie 4-ej zabiłem ogromnego, bo największego ze wszystkich mych zabitych, głuszca. Strzelałem do niego dwa razy, ale ponieważ pierwszy raz pamiętałem strzelić podczas gry, więc nie zleciał; druga kula przeszyła mu szyję, a siedział przy pniu osiki tak nizko, że ręką można było doń sięgnąć. Tak pięknego egzemplarza ani przedtem, ani potem, nie widziałem. Żałuję, że nie zważyłem go.

(D. c. n.) *Przecławski.*

Przechadzka po bażantarni w Nietuszkowie.

Baron v. Loewenstern, łowczy niemieckiego następcy tronu, zwiedził zakłady bażantarniane w Nietuszkowie, i o wycieczce swojej do tej bażantarni pisze, co następuje.

Każdy hodowca bażantów wie, ile kłopotów przyczynia hodowla bażantów, a szczególnie tak zwana sztuczna bażantarnia. Przy coraz bardziej rozpowszechniającej się hodowli bażantów, powinien obchodzić wielu czytelników opis tego zakładu, w każdym razie „oryginalnego“, zwłaszcza po artykułach i dziele rzeczywistego radcy stanu, Cronau'a: „Bażant łowny, jego pokrewne gatunki i krzyżowania“*), bo praca ta wzbudziła większe zainteresowanie do prawidłowej hodowli bażantów. Umyślnie powiedziałem: „oryginalnego“, a nie godnego naśladowania lub coś podobnego, gdyż po pierwsze, zakład ten nie odpowiada ściśle temu, co w mowie potocznej nazywamy bażantarnią, a powtóre nie uważam bynajmniej, że należy naśladować zupełnie wszelkie urządzenia tej bażantarni, ale, bądź co bądź, opis jej jest nader pouczający.

Każdy czytelnik niemieckich pism myśliwskich spotyka niejednokrotnie ogłoszenie, wskazujące drogę od Plohmuehle do zamku książęcego Nietuszkowo. Oczywiście bardzo niewielu korzysta z drogowskazu w celu właściwego zwiedzenia tej miejscowości. Ja jednak zużytkowałem tę wskazówkę, zawiązawszy stosunki w roku zeszłym z właścicielem owej bażantarni angielskiej, która mieściła się dawniej w Plohmuehle, a teraz w Nietuszkowie (Nitsche) pod Śmiglem, w ks. Poznańskiem. Właścicielemjest p. D. Neyman. Liczne jego wycieczki myśliwskie zaprowadzały go do Węgier, Austryi i. t. d., a nawet do Anglii, gdzie zapoznał się z urządzeniami tamecznych bażantarni. W przekonaniu, że co Anglik potrafi, to uczynić i my zdołamy, zaczął p. N. wzorować się na tamtych zakładach w swym kraju rodzinnym, a mianowicie naprzód w Plohmuehle. Lecz po krótkim czasie okazało się, że będący tutaj do rozporządzenia teren myśliwski nie odpowiada rozlicznym wymaganiom, jakich potrzeba do hodowli bażantów. Wówczas p. Neyman przeniósł się z Plohmuehle do Nietuszkowa w prowincyi Poznańskiej, przed 9 miesiącami wraz ze swemi bażantami i psami.

Dominium Nietuszkowo, którego rewir myśliwski p. Neyman dzierżawi od księcia v. Birona głównie w celu hodowania bażantów, obejmuje przestrzeń około 21.000 morgów, z czego blizko 7000 morgów lasu, miejscami lekko falistego. Znajdują się w nim łąki i poletka, ale głównie zarosły drzewami iglastemi, częściowo jednak także liściastemi, jest tam także mnóstwo bujnych krzewów jerzynowych, malinowych i t. p. Nieopodal lasu leży zamek Nietuszkowo, graniczący z polami dóbr o takiejże nazwie. W zamku Nietuszkowo mieszka p. Neyman. Wokoło w parku przebywają będące pod opieką tego hodowcy, ptaki kurowate w najrozmaitszych ogrodzeniach wielkości od $^1/_4$ do $^3/_4$ morga, otoczonych drutem plecionym wysokości przeważnie 3.5 metra. Całe ogrodzenie wynosi w ten sposób przeszło 100 metrów.

Wychodząc z zamku i kierując się placem zamkowym na południe, docieramy przedewszystkiem do domu myśliwskiego, zamieszkanego przez angielskich i niemieckich bażantarników; tuż obok jest ogrodzona ptaszarnia dla kur, w której przebywają kury jokohamskie, przeznaczone do wysiadywania jaj bażancich w późniejszym czasie.

Kury te poleca obecnie prasa zawodowa jako najlepsze matki bażancie, poza ich właściwem wylęganiem kur Yokohamy. Są to japońskie kury jedwabiste. Tuż naprzeciwko, jeszcze w obrębie murów, otaczających park cały, spotykamy schroniska dla jednego z najcenniejszych gatunków bażantów, dla bezobrączkowego bażanta Elliota (*Phasianus Ellioti*). C. Cronau w swej książce „Bażant łowny“ mówi o owym gatunku: „bażant Elliota, odkryty przez Swinhoe i wprowadzony w końcu szóstego dziesięciolecia zeszłego wieku do bażantarni, wzbogacił ją najważniejszym nabytkiem, jak również zajął takież stanowisko śród ptaków ozdobnych“. Ponieważ bażanty te są bardzo bojaźliwe, przeto ukrywają się zwykle w gęstych zaroślach; wszakże koguty wspaniałe zjawiają się wnet za pognaniem ich przez bażantarników, podczas gdy kury nie przeszkadzają sobie w wysiadywaniu. Co się tyczy wyglądu, pochodzenia i t. d. tego ptaka wspaniałego, odsyłam ciekawych do wyżej wspomnianej książki „Bażant łowny“ C. Cronau'a. W tej ptaszarni znajduje się kuchnia dla przygotowania pokarmu bażanciego, oraz psiarnia z trzema wyżłami bardzo ładnemi, krótkowłosemi, angielskiemi i niemieckiemi.

Dalszy spacer zaprowadził nas do drugiej psiarni, w której przebywają cztery wspaniałe egzemplarze wyżłów. Obok znajduje się pomieszczenie dla jaj, gdzie się je sortuje i zapakowuje do wysyłki, czem się zajmują trzy osoby cały dzień, a w czasie popytu na jaja bażancie, w sezonie — sześć osób. Według obliczenia właściciela, przez sezon wysyła się około 80.000 jaj bażancich najrozmaitszych gatunków, około 20.000 kuropatwich i około 10.000 jaj kur jedwabistych i jokohamskich. Do tego pomieszczenia przylega jeszcze jedna psiarnia i plac do hodowli kur jedwabistych i jokohamskich, z których pierwsze szczególnie odznaczają się jako znakomite matki, pielęgnujące młody ród bażantów. Ale, niestety, one przy wielkich swych zdolnościach mają tę wadę nieuleczalną, że wyróżniają się szkaradną barwą fioletową, która czyni je niemożliwemi do użytku. P. Neyman odkrył obecnie, że kury jedwabiste, których płatki poduszne są barwy fioletowo-jaśniejszej, prawie jasnoniebieskiej,— dają potomstwo o wiele bielsze, aniżeli kury o fioletowych płatkach posusznych. Ma też nadzieję, na tem się opierając, że uda mu się za pomocą prawidłowego, konsekwentnego doboru hodowlanego, otrzymać powoli białą zwierzynę z kur jedwabistych. Wtenczas i koguty, które obecnie nie mają żadnego znaczenia dla hodowli, będą miały swoją wartość. A rzecz to bardzo ważna, ponieważ, jak się sam przekonałem, wylęga się bardzo dużo kogutów. P. Neyman twierdzi nawet, że ta hodowla już mu się udała prawie. (D. n.)

*) Dzieło to drukujemy właśnie w dodatkach do „Łowca Polskiego“

LISTY DO „ŁOWCA POLSKIEGO".

Aczyńsk (Syberya), w styczniu.

Nie będzie to wcale przesadą, jeżeli powiemy, że o dwunastym kalibrze broni śrótowej wogóle, a ostatniemi czasy w szczególności, pisano dużo, a może nawet za wiele. Wiemy tedy już wszyscy, czego należy wymagać od dobrej dwunastki ze słabemi choke'ami, pół-choke'ami lub full choke'ami; wiemy więc z wielką dokładnością, ile śrócin mogą i powinny dawać różne choki do tarczy o średnicy 75 ctm. na 40 yardów, czyli 35½ metrów № 6-m angielskim; wiemy również, jaka być powinna ostrość (penetracya) centrownych śrócin.

Kwestyę wagi i wymiaru broni, zwężenia, czyli samych choków w częściach *mm*, sposób robienia ładunków, a więc wagę różnych gatunków wszelkich prochów, zależnie od przeznaczenia i sezonu etc., wszystko to zbadaliśmy, powiedzieć śmiało mogę, w sposób wyczerpujący.

Zdaje mi się więc, że z czystem sumieniem możemy teraz ponad dwunastym kalibrem przejść do porządku dziennego.

Widzimy od niejakiego czasu, że dwudziesty kaliber wielu ma zwolenników, czego dowodem jest to, że najsolidniejsze, pierwszorzędne firmy, jak W. W. Greener, W. C. Scott, A. Francotte, wreszcie I. Nowotny, coraz częściej w obieg wypuszczają dziś kaliber 20-ty. Dowód zatem jasny, że i popyt na te bronie zwiększony też został. Powiedziałbym nawet, że ostatniemi czasy t. j. od lat paru, a więc z początkiem XX-go wieku, i kaliber 20-ty broni coraz skuteczniej rywalizować zaczyna z 12 i ruguje go stopniowo.

Byłoby tedy wielce do życzenia, żeby Redakcya naszego „Łowca Polskiego", innemi słowy, tyle przez nas wszystkich ceniony autor, p. Wł. Słonczyński, którego specyalnej erudycyi i uprzejmości zawdzięczamy już moc nieocenionej doniosłości wiadomości i wyjaśnień, zechciał teraz łaskawie, jaknajobszerniej, wyczerpująco poinformować nas, małooświeconych, o wszelkich szczegółach, odnoszących się do coraz więcej rozpowszechniającego się kalibru 20-go. Przypuszczam, że w ten sposób odrazu skutecznie będą wyjaśnione najróżnorodniejsze kwestye, dotyczące tego kalibru, które prędzej, czy później stopniowo byłyby niewątpliwie poruszane (jak to dotąd z 12-tym kalibrem miało miejsce). Przekonany jestem, że my wszyscy *uważni czytelnicy* „Łowca Polskiego", których chyba jest większość, za takie wyjaśnienia, nieskończenie wdzięczni będziemy, a w ich rzędzie pierwszy niżej podpisany.

Przecławski.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 4 marca. Główne Towarzystwo zawiadomiło Radę, że na wystawie psów w Moskwie żetony, przesłane przez Oddział Warszawski, przyznano zostały: złoty p. Worobiowowi za irlandzkiego settera „Tima", srebrny p. Nefedowowi za pointera „Dor".

P. gubernator piotrkowski nadesłał wykaz broni, odebranej w 1903 r. przez straż ziemską gub. piotrkowskiej. Wykaz ten obejmuje 57[illegible] strzelb. Rada postanowiła przesłać 260 rub na nagrody dla straży.

P. Wł. Kępiński przedstawia Radzie kilku policyantów m. Warszawy i strażników z gub. warszawskiej, którzy okazali wielką gorliwość w dopomaganiu członkom Tow. opieki nad zwierzętami w wykrywaniu nadużyć przepisów o polowaniu. Ponieważ dla straży ziemskiej Rada wydaje nagrody na ręce p. gubernatora, przeto oddzielnie owych strażników nagrodzić nie mogła, natomiast przyznała nagrody dwom policyantom warszawskim po 10 rub., a feldfeblowi St. Karpińskiemu srebrny zegarek z dewizką, które otrzymają za pośrednictwem urzędu p. oberpolicmajstra m. Warszawy. Wogóle myśl nagradzania policyantów za gorliwe przestrzeganie przepisów o polowaniu, zwłaszcza na targach warszawskich, jest bardzo szczęśliwa, a nagrody te mogą przynieść prawdziwy pożytek.

Na budowę kościoła Zbawiciela asygnowano 100 rub.

W dniu 9 marca odbyło się nadzwyczajne posiedzenie Rady, na którem rozpatrywano projekt nowej ustawy dla Towarzystwa prawidłowego myślistwa i zmian, zaprojektowanych przez Komisyę w owym projekcie. Wogóle Komisya orzekła, że projekt ów skreślony jest bardzo pobieżnie i chaotycznie, a dla Oddziałów nie odpowiedni. Opinię tę podzielają i inne Oddziały Towarzystwa, które wystąpiły z dosadną i zasadniczą krytyką projektu.

Drobiazgi myśliwskie.

Konkursy strzeleckie. Zarząd Strzelnicy Warszawskiej, będącej własnością p. Roberta Zieglera, ogłasza konkursy strzeleckie, które rozegrane będą pomiędzy 26 marca a 5 kwietnia b. r. Konkursów będzie siedem: dwa pistoletowe, dwa sztucerowe i trzy do celów ruchomych. Nagrody dla zwycięzców stanowić będą żetony i przedmioty wartościowe.

Młodego zajączka, mającego około 8 dni życia zaledwie, widział d. 11 lutego r. b. w Saksonii tamtejszy myśliwy, obchodząc z psem pole. Zajączek ulągł się tedy już około 3 lutego.

Zwiastuny wiosny. P. Jeremiasz Neuntoeter z Westfalii widział tam d. 15 lutego z rana pierwsze szpaki. Panowała wówczas najpiękniejsza pogoda wiosenna. Czy też ptaki nie omyliły się tym razem w rachubie czasu?

Niezwykły wypadek oswojonych kuropatw opisuje gazeta „der Weidemann". W leśnictwie Osterburg pod Karzig (Nowa Marchia) podczas sianokosów, wykoszono gniazdo z jajkami kuropatwiemi, które podłożono pod kurę domową do nasiadania. Wylężone pisklęta w kilka dni opuściły zagrodę i przeniosły się na pobliską łąkę. Na świstawkę przylatują jednakże w oznaczonej godzinie dla podkarmienia a w dwa tygodnie przyłączyły się do nich dwie starki, które także przylatują na podwórze i nie zdradzają najmniejszej obawy wobec ludzi.

Czy głuszce jedzą owies? Na to pytanie otrzymujemy twierdzącą odpowiedź z Galicyi, a mianowicie z Rajczy (w okolicach Żywca) własności ks. Władysława Lubomirskiego. Ponieważ majątek ten jest położony dość wysoko w górach, więc mieszkańcy miejscowi dla przyśpieszenia wyschnięcia późno dojrzewającego owsa, rozwieszają go na wywróconych do góry korzeniem, świerkach. Poletka owsa znajdują się najczęściej wśród lasu. Otóż przekonano się, że głuszce stale napadają na suszący się owies i chętnie go jedzą. Korzystają z tego mieszkańcy i urządzają budki podobne, jak na cietrzewie, gdzie zasiadłszy po południu, biją przylatujące na żer, ptaki.

Krol Alfons XII zaznaczył się jako myśliwy przy objęciu rządu ustanowieniem urzędu pierwszego łowczego, dotąd w Hiszpanii nieznanego. Jedynem ubraniem cywilnem króla od czasu wstąpienia na tron są kostyumy myśliwskie z sukna ciemnozielonego lub brunatnego, oraz duży kapelusz kordubeński. Urządza on dość często wycieczki specyalnym powozem myśliwskim, zaprzężonym w sześć mułów, do Parku w Prado, założonego jeszcze przez Karola V z wspaniałym zamkiem, i poluje na zające, kuropatwy i króliki.

Dzielny Tim, znany powszechnie pies w Londynie, zdechł w tych dniach. Poświęcił on całe życie na ulżenie nędzy rodzajowi ludzkiemu. Przechodnie, podróżni na dworcu Paddington widywali często psa, no-

szącego na szyi blaszaną skarbonkę, z którą podbiegał prosząc o datek dla wdów i sierot po oficyalistach kolejowych. Obliczono, że przez 10 lat „Tim“ uzbierał przeszło 8000 rubli. Postanowiono dzielnego Tima wypchać i ustawić go na dworcu, który służył jako teren do jego szlachetnej pracy.

81 lisów w 3 dni. Według wiadomości „Zwinger und Feld“ knieje nad górnym Dunajem odznaczają się obfitością lisów. Na polowaniu w grudniu w rewirach ks. Fürstenberga zabito oprócz 140 danieli, 12 kozłów, 3 borsuków, 18 zajęcy, wyraźnie 81 lisów.

W rewirach domeny Mintnent Algyo, należących do margrabiego Aleksandra Pallavicini, ubito na polowaniach, odbytych od 1 do 4 grudnia r. z.: 23 rogacze 9002 zające, 827 bażantów, 208 kuropatw i 12 różnych sztuk; razem rozkład wynosił 10,072 sztuki.

Strzelanie do wron, jako nowy sport. Z końcem zimowego sezonu angielski sportsmen niechętnie rozstaje się z bronią, zapragnął więc żyłce myśliwskiej, a raczej strzelaniu, nowym rodzajem sportu dopomódz. W Szkocyi dopiero od niedawnych czasów uznano wronę jako szkodnika i tępienie jej odbywa się na większą skalę. Wiadomem zaś jest, że strzelanie do wron niezawsze odbywa się z pomyślnym rezultatem, gdyż zmyślny i ostrożny ten ptak zdaleka poczuje podchodzącego człowieka z fuzyą, i umie zawsze się oddalić od daleko sięgającego strzału. Podchodzenie więc tego ptaka uważa się za sport, a odbywa się w następujący sposób. Aby przynęcić wrony, na wysokich modrzewiach bywają rozwieszane kawałki mięsa w różnych miejscach na konarach i gałęziach. Wrona, poczuwszy zapach mięsa, nie może się oprzeć przynęcie i podlatując, zasiada zdaleka na innem drzewie. Przekonawszy się z zastosowaniem wszelkiej ostrożności, że niebezpieczeństwo znikąd nie grozi, krakaniem wabi towarzyszki i zasiada pierwsza na wierzchołku drzewa z przysmakami. Podejście myśliwego i celny strzał stanowią przedmiot sportu, do którego używa się broni o małych kalibrach. Przy tego rodzaju strzelaniu do wron odbywają się wysokie zakłady, względnie do tego, czy broń sztucerowa, czy też śrótówka, jest w użyciu.

Dodać musimy od siebie, że sport ten we Francyi istnieje już od dość dawna. Specyalne do tego karabinki noszą nazwę „carabines a corbeau“.

Ochrona ptaków w Ameryce. Według wiadomości, podanej, przez „A. H. Jagd-Zeitung“ prezydent Stanów Zjednoczonych, Roosevelt, wydał rozporządzenie t. z. „Hallock-Bill,“ które zabrania kupna i sprzedaży piór dzikich ptaków. Posiadacz skrzydeł lub innych części opierzenia ptaków podlega karze 60 dolarów. Odbywają się często rewizye magazynów ze strojami i znalezione wszelkie pióra podlegają konfiskacie.

Zwierzyna na stołach starożytnych Rzymian. Delikatesem u Rzymian były dziki; podawano je w całości na stół. Sławne były odyńce z Umbryi. Zając cieszył się także wielką wziętością na stołach Rzymian, tak samo sarna i dziki osioł, zwłaszcza młody.

Pojętna wydra. W miejscowości Tschicherzig przechodnie przez most na Odrze, są świadkami ciekawego popisu. Restaurator schwyciwszy młodą wydrę kilkodniową, wychował ją mlekiem, i wyrosła mu na wspaniały okaz. Za troskliwą opiekę i wychowanie wydra okazała się wdzięczną i przywiązała się do swego pana, jak pies. Skoro wypuści ją z klatki, skacze mu na ramiona, liże, pieści i wydaje przytem pisk łagodny dla okazania radości. Wychodzi za swym panem na spacer i doszedłszy do mostu, na dany znak rzuca się do rzeki i łowi ryby, które składa właścicielowi i dopiero za rozkazem spożywa.

Kronika Myśliwska.

(Prosimy Szanownych Czytelników naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

W ostatnich dniach lutego odbyło się polowanie w Stężerzycy pod Kowlem (gub. wołyńska). W dwa dni i w cztery strzelby zabito: 9 dzików, 2 lisów, 11 jarząbków i 1 głuszec.

Dnia 18 i 19 stycznia b. r. odbyło się w Kozińcach na Podolu, u p. Leona Rakowskiego, dwudniowe polowanie. W 4 strzelby ubito: 92 zające, 12 bażantów, 1 lisa, 1 kuropatwę i 3 szkodniki, razem 108 sztuk. Królem polowania był p. Tadeusz Dachowski, mając na rozkładzie 40 zajęcy, 7 bażantów, lisa, kuropatwę i 2 szkodniki, razem sztuk 51. Do sarn, których widziano dość wiele, nie strzelano wcale.

Wykazy Myśliwskie.

Niezwykle ciekawy wykaz zwierzyny, ubitej od dnia 1 lutego 1902 r. do 1 lutego r. b. na Węgrzech w majątku Zsombolya, podaje właściciel tego majątku, hr. Andrzej Csekonics. Ubito więc zwierzyny użytkowej: sarn: 48 kozłów i 8 kóz, zajęcy 6696, dropi 2, bażantów kogutów 761, kur 13, kuropatw 318, przepiórek 1007, słonek 29, bekasów 26, kaczek dzikich 59, kaczek różnych gatunków 113, kwiczołów i drozdów 97, razem zwierzyny użytkowej sztuk 9177. Drapieżników ubito: kotów dzikich 4, lisów 110, tchórzów 38, łasic 244, jeżów i świszczków 2,900, psów włóczęgów 115, kotów domowych 200, orłów i puhaczów 10, jastrzębi i myszołowów 752, krogulców i sokołów 527, wron 15,682, srok 1741, sów 591, różnych gatunkow dzierżby 2,657, razem drapieżników 25,571. Ogółem ubito w przeciągu roku sztuk 34,748.

Strzelanie do gołębi.

Monte Carlo.

W dalszym ciągu rozstrzelano w Monte Carlo następujące ważniejsze pule.

Dnia 18 lutego.

Challenge Cup (handicap). Pierwszą nagrodę (puhar i 1475 fr.) zdobył mr. Woolton (21 metr.), zabiwszy 10/10 gołębi. Drugą nagrodą (2950 fr.) podzielili się panowie bar. de Montpellier (29 m.) i hr. d'Oultremont (23 m.), zabiwszy po 9/10 gołębi.

Dnia 19 lutego.

Riviera Palace Prize (handicap). Baron de Tavernost (22 m.) i p. Pellerin (21 m.) podzielili się nagrodą i 900 fr. (8/8 gołębi). Trzeci p. Ginot ($23^1/_2$ m.) wziął 225 fr., zabiwszy 7/8 gołębi.

Dnia 20 lutego.

Prix de Beaulieu (handicap)— 1975 fr. wziął p. Ginot ($23^1/_2$), zabiwszy 9/9 gołębi. Drugą i trzecią nagrodą podzielili się pp. Pellerin (21 m.) i bar. de Dorlodot (21 m.), zabiwszy po 9/10 gołębi.

Dnia 21 lutego.

Prix de Hermitage (handicap). Nagrodą i 825 fr. podzielili się pp. bar. A. de Tavernost (22 m.) i bar. de Dorlodot (21 m.), zabiwszy po 11/11 gołębi. Trzecią nagrodę (200 fr.) wziął p. Gourgaud (22 m.), zabiwszy 10/11 gołębi.

Dnia 23 lutego.

Prix des Oeillets (26 metrów). Pierwszą, drugą i trzecią nagrodą (2475 fr.) podzielili się pp. Roberts, Blake i Journu, zabiwszy po 15/15 gołębi.

Dnia 24 lutego.

Priemier Prix Supplémentaire (handicap). Pierwszą, drugą i trzecią nagrodami w sumie 1425 fr. podzielili się pp. Mackintosh (31 m.), Ginot ($25^{1}/_{2}$ m.) i Leo (21 m.), zabiwszy po 16/16 gołębi.

Treść Nr 6 „Łowca Polskiego".

Prenumerata **„Łowca Polskiego"** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

Z handlu zwierzyną.

W ostatnich dniach w Warszawie w składzie Chruścińskiego, w Gościnnym Dworze 139 płacono ceny następujące:

	Kupowano	Sprzedawano	
Sarninę	—.18 k.	—.25 k.	funt
Zające	.90 „	1.30 „	sztuka
Kuropatwy	1.10 „	1.30 „	para
Bażanty			
koguty	3.50 „	4.50 „	„
kury	2.50 „	4.00 „	„
Kaczki dzikie krzyżówki cyranki	nie do-	starczono	
Kwiczoły	13.50 „	15.00 „	kopa
Jamiołaszki	3.00 „	4.50 „	„
Jarząbki	1.00 „	1.20 „	para
Cietrzewie	1.20 „	1.50 „	„
Dubelty	1.50 „	2.00 „	„
Słonki Bekasy	nie do-	starczono	